

Początki opery w Wielkopolsce (I)

Józef Modrzejewski

„Teatrum na sali”

Niezwykłym wydarzeniem w życiu kulturalnym naszego kraju przed z górą trzema wiekami było otwarcie stałej sceny operowej w Warszawie. Na przedstawienie sprowadzonego przez króla Władysława IV zespołu włoskich śpiewaków i instrumentalistów ściągali goście niemal z całej Europy środkowej. Nie brakło oczywiście szlachty i magnatów polskich, którzy szybko pozaproszili wspa- niałego teatru królowi melo- manowi. Byli wśród nich rów- nież Wielkopolanie, a dwaj z nich zamianowali swe uc- uczucia w twórczości artystycz- nej. Jeden z nich, Samuel ze Skrzypny Twardowski, „dobry szlachcic z ziemi kaliskiej”, którego uważamy za najwy-

bitniejszego poetę epoki baro- ku, z zachwytem wspomina piękne widowiska operowe w poemacie o życiu i działaln- ności króla Władysława IV. Z kolei pod wpływem opery Je- remiasza Paschatiego pisze udratyzowaną powiastkę o Dafnidy, która przemieni- ła się w drzewo laurowe. Wą- tek zaczerpnął z baśni greck- iej podanej przez Owidiusza. Treścią jej są dzieje mitycz- nej Dafnidy, która uchodząc przed natrętą miłością sa- mego boga Apollina za spr- awą bogini Diany w cudowny sposób uniknęła swego losu.

Jesteśmy skłonni uważać wspomniane dzieło Twardow- skiego jako pierwszy polski utwór literacki napisany pod wrażeniem spektaklu opero-

wego. Niektórzy badacze trak- tują go nawet jako próbę stworzenia polskiego libretta. Ten sam podziw dla nowego rodzaju twórczości teatralno- muzycznej żywi Krzysztof Opaliński. W jednej ze swych satyr wynosi na piedestał bo- haterów znakomitego tenora Baltazara Ferri, zwanego po- pularnie Balcerkiem. Najpo- tężniejszemu magnatowi wiel- kopolskiemu mało jest okazy- wać bierny zachwyt. Z listu do jego brata dowiadujemy się, że w Ujazdowie na ziemi wschodniej wystawia „tea- trum na sali, wzięwszy model z królewskiego”, ściągając do niego aktorów szkolnych, a w repertuarze ustala „same ko- medie i tragedie od siebie pi- sane”. Dodaje następnie z

dumą: „Wszystko po polsku się odprawuje i aktorowie ar- cywymowni i dobrzy...” Nie wiemy, niestety, nic bliższego o scenie ujazdowskiej, ani też o twórczości Opalińskiego. Jedno i drugie pochłonięły wy- padki i niepamięć ludzka.

Samuel Twardowski i je- go możny krajan byli ucz- niami kolegów jezuitów, bądź w Kaliszu, bądź w Po- znaniu. Obydwaj już w mu- rach szkolnych zapoznali się z przedstawieniami teatral- nymi. Niewiele były warte pompatyczne i schlabiające dumie rodowej sztuki pisane i wystawiane przez jezuitów, ale budziły zainteresowanie swą nowością i oryginalną scenografią. Potężny zakon dla wywarcia większego wpływu na magnaterię wykorzysty- wał wszystkie zdobycze ów- czesnej techniki teatralnej, a nawet nie zawahał się przed wprowadzeniem no- wych gatunków dramaturgii w postaci pantomin i bale- tów.

Obydwaj Wielkopolanie, którzy powitali tak żywioło- wo operę królewską, byli już poprzednio wprowadzeni w nową dziedzinę twórczości teatralnej. Ale jeśli ich po- chwały i próby samodzielne- go uczestnictwa w tej twó- rczości utonęły w wirze wy- darzeń politycznych, teatr jezuitów w Poznaniu rozwi- nął się i przygotował grunt pod stałą scenę.

Mam tu na myśli przede wszystkim salę, kułisy i in- ne zagadnienia techniki przedstawień. Wybudowano kolejno trzy sale, przy czym ostatnia mieściła się w póź- nobarokowym budynku, u zbiegu ulic Świętosławskiej i Gołębiej. Były w nich zapad- nie, które ułatwiały szybką zmianę dekoracji, telari, czy- li trójboczne słupy, na któ- rych umieszczano fragmen- ty plenerów, były wreszcie nowoczesne kułisy sprowa- dzone z Wrocławia. Na wi- downi umieszczono trzy rze- dy siedzeń, do których pro- wadziły osobne wejścia. Zna- no i stosowano metodę za- ciemniania światła u lamp olejnych.

Toteż, gdy do Poznania przybyła w r. 1715 włoska trupa Tomasz Ristorigo z kompozytorem Janem Al- bertem, który przygotowy- wał intermedia, serenady i buffy, były już warunki do wystawienia pierwszych form operowych.

Pół wieku później w sali teatralnej przy ul. Gołębiej grały kolejno trzy zespoły zawodowe, inaugurując nie- jako stały cykl widowisk operowych. Najpierw przy- była z Warszawy ośmiooso- bowa trupa Józefa Srokow- skiego, która zorganizował i wyprawił Wojciech Bogu- sławski. Umowa przewidy- wała, że aktorzy mają przy- stąpić w Poznaniu do gra- nia komedii i oper... na ści- śle określonych warunkach. Nie znamy niestety ani re- pertuaru, ani bliższych szcze- gółów działalności polskiego zespołu. Niewiele można również powiedzieć o grupie niemieckich aktorów, którzy tutaj występowali po przy- jeździe z Pragi. Natomiast ówczesna prasa wspomina o dwuletnich produkcjach trupy włoskiej Magriniego, któ- ra bawiła publiczność po- znańską pantominami i ba-



Fot. Baranowski

letami bądź w sali, bądź też na dziedzińcu gimnazjum je- zuickiego.

O ile widzami spektakli w siedemnastym i pierwszej połowie osiemnastego stule- cia byli magnaci i tłum szlachecki, tłoczący się za krzesłami możnych protekto- rów, o tyle w ostatnich la- tach przed zaborem pruskim spotykamy już mieszczań- stwo. W dalszym ciągu nie potrafiono zdobyć się na kosztowne wystawienie jakiegś wielkiej opery z ari- ami i chórami. Zamiar ten żywił wówczas jedynie ma- gnat wielkopolski August Sułkowski. Wybudował on znaczny symplem wspa- niałą salę teatralną w po- marańczarni obok pałacu w Rydzynie pod Leszmem. Pla- fon tej sali ozdobiony roko- kowymi sztukateriami i fres-

kami, należał do r. 1945 do arcydzieł naszej architekту- ry. Jeszcze większą zasługą Sułkowskiego było stworze- nie doskonałego zespołu ak- torskiego, wśród którego zna- leźli się późniejsi luminarze teatru Bogusławskiego Jakub Hempiński, Barbara Siera- kowska i Katarzyna Grono- wiczowa. Właściciel Rydzyny zamierzał stworzyć reprezen- tacyjną scenę dla szlachty i magnatów, stąd wszystkimi jego krokami kierował cias- no projektem interes klasowy. Sejm z 1774 roku udzielił — na jego prośbę — wyłącznego prawa na organizowanie wi- dowskich publicznych w kraju, m. in. oper, komedii, spec- tacula. W jakim stopniu Suł- kowski realizował swoje za- miary, trudno nam powie- dzieć. Była to ostatnia pró- ba teatru dworskiego.

Kropla octu

Niedziela w Poznaniu

L istopad, niedziela, deszcz mży od rana, a tu człowiek nie so- bie nie zaplanował...

Stoję przy oknie, patrzę na chmurki i marzę o letniej pogo- dzie. Bo latem szczerza natura ży- wiołowo zastępuje wszystkie planu- jące instytucje wypoczynkowo-ro- zrywkowe z Wydziałem Kultury i WRZZ na czele. Siadasz rankiem na rower, do pociągu lub autobu- su i znikaś w sieni dąli jakiegś Puszczyczkowa, Strzeszyńska czy Promna. Ale jesienią?...

Kino? A no spróbujmy. Apollo gra: „Elżbietę, Joannę, Lizystratę” — ale żebyś zobaczył chociaż jedną z nich, marzyłbyś szkoda. Podobnie przed Bałtykiem: Na afiszu kome- dia, przed kasą — tragedia. Ludz- ska spragnienie śmiechu, Dymśna na ekranie, nie ma się czemu dziwić. W pozostałych kinach albo po- wtorci, albo nudy. Zegnaj Fil- mio! A Melpomena? Melpomena pracuje planowo: bilety sprzedane dwa dni naprzód...

Ala, ale: przecież to dziś można oglądać projekty na pomnik Mickiewicza i nawet zabrać głos w dyskusji! Wprawdzie już decyzja zapadła, ale głos zawsze przyjem- nie zabrać, choćby tylko sobie a muz(e)om. Pędzę więc na Plac Wol- ności. Godzina 15.30, Muzeum Na- rodowe zamknięte. Czynne było przez cały tydzień, napracowało się, biedaczko, musi odpocząć. I w o- góle — kto wybiera się w niedzielę do muzeum? Chyba tylko świat pracy. W niedzielę w Poznaniu bi- blioteki, czytelnie, muzea i pokre- ne instytucje odpoczywają i basta. Trudno. Pomnik obejrzy sobie na cokole. Nie wiem, czy dyrektor Ma- linowski gra w brydża, może by- my sprokurowali jakiegś rober- ka? Zawsze lepszy brydż niż nic. Złazszcza, że dzisiaj brydż jest już nasz i można grać legalnie. Znam studenta, który kilka lat temu o- mał ze studiów nie wysiadł przez szlemika w karo. Na przykładzie przywrócenia brydża naszej epoce widać wyraźnie rolę jednostki w historii: gdyby Putrament nie lu- bił brydża, kto wie, jak długo mu- siałyby jeszcze (brydż, nie Putra- ment) tkwić w podziemiu?

Ala dosyć z tym brydżem, w ko- fu i brydż się znudzi. W dalszym ciągu chodzę po mieście, aby „u- zewnętrznę się po linii kultural- nej”, jak mawia sympatyczny ko- lega w redakcji. Mogę pójść do pa- ku, do szaletu, na cmentarz. Są otwarte. Ale rezygnuję, nie czuję potrzeby. Mogę pójść na boks — ale nie lubię petard. — Mogę jesz- cze pójść do świetlicy przeczytać artystyczne hasio: „Stonka, twój wróg” lub czasopisma sprzed dwu tygodni. Zaraz... Czasopisma? To jest pomysł. Mam przecież znajo- mego kioskarza. Kupuję. Błagam go: „Daj pan choć jedno bez Mic-

kiewicza!“. A on mi od wrogów... 27 listopada pisma bez Mickiewicza nieważne. Maski pośmiertne na I stronie, a w środku — branzowo: „Mickiewicz a wierzby“, „Mickie- wicz a Kogut“, „Mickiewicz a sło- wy wiosenne“, „Mickiewicz a skok o tydzień“. Nawet organ szlachet- ny „Szach-mat i wysiadka“ zamieścił uczoną rozprawkę pt. „Ruchy ko- niem na przedpolu przeciwnika w świetle Pana Tadeusza“. Odrabia się ten Rok Mickiewiczowski so- lennie. Odwała się multum artyku- łów, przyczynków, fraszek, wier- szydeł, felietonów, esejów, diabli wiedzą, czego — na jeden raz i świę- ty spokój na następne sto lat za- pełniony.

O roku ów, ogólnokrajowy!... Aż dziw, że głośnik zainstalowa- ny na Rynku Jeżyckim nie ryczy Improwizacji na cztery głosy z gita- rą, tylko po staremu — „Cicha wo- de“. Woda wodą — ale po co ten ryk? Cztery - sześć straganów — kiermasz. Hasło: Frontem do klien- ta! Złazszcza pod koniec miesiąca, kiedy z planami obrotu kruchło. Głośnik wyje, jeden z mieszkań- ców rynku postanawia otruć się z rozpaczy gazem, potem, nie chcąc obniżyć ciśnienia Gazowni, zmienia sposób śmierci, idzie na obiad do „Murskiej“.

Nie, nie dziś nie będzie. Przeczy- tałem sobie jeszcze afisz „Irena, do domu“. Jak do domu, to do domu. W tramwaju ze świeżo drukowanej wywieszki dowiedziałem się o no- wym obowiązku — mianowicie o obowiązku płacenia za bilet ściśle odliczoną monetą. Dowcipne to na- sze MPK! Nie zdziwił się, kiedy każe nam przynosić z sobą własne tramwaje. Powiedziałem to znajo- memu działaczowi kulturalnemu, który jechał tym samym tramwa- jem. Nie słuchał — był oburzony: jego żonę zaczęli na ulicy jakiś chuligan. Podzielał jego oburze- nie. Bo jakże to — zamiast zab- wiać się kulturalnie, młodzi ludzie zaczęli pójść na ulicę! Nie — tak nisko się nie stożce. Wo- lę słuchać radia nawet z Mickie- wiczem, a potem nawet okrutnego „jazzu“ naszego Renza...

Oj, miasto, miasto! Budujesz tyle pięknych rzeczy, aby nam się le- piej pracowało — ale o kultural- nym wypoczynku masz takie po- jęcie, jak MPK o prawach i obo- wiązkach pasażera. A wypoczynek — to przecież prawo, konstytucyj- ne, nie tramwajowe.

P. S.: Przypuszczam bardzo, że zauważyłem, że w niedzielę (27 XI) były jednak czynne pewne punkty usług kulturalnych. Sklepy z wód- ką. Przyczyniły się one waleń do umasowienia pieśni ludowej: „Gó- ralu, czy ci nie żal“. Więc jednak...

Janusz Biniek



Fragment wystawy — wycinanki i malowanki łowickie
Fot. Baranowski

W okresie 10-lecia mieliśmy 2 ogólnopolskie wystawy sztuki ludowej, 48 wystaw wojewódzkich i 75 wystaw regionalnych (w tym 4 w Poznaniu) i 15 wystaw okazyjnych oraz 15 wystaw zagranicą. Oprócz tego zorganizowaliśmy 69 konkur- sów, na które kilka tysięcy artystów nade- ślało 20 tys. prac. Liczby te świadczą, że opieka ze strony Ministerstwa Kultury i Sztuki i innych zainteresowanych instytucji nie poszła na marne, że dała piękne owoce.

Podsumowaniem dotychczasowego dorob- ku kulturalno-artystycznego na wsi jest niedawno otwarta w warszawskim Pałacu Kultury i Nauki — „Ogólnopolska Wystawa Sztuki Ludowej 10-lecia“. Pokazano na niej wiele. Nasza twórczość ludowa ujawniła się tu w całej krasie. Nie wiadomo, co w pierw- podziwiać, czy cierpliwość wykonawcy, czy też jego talent artystyczny. Niektóre dzieła pod tym względem przewyższają prace ar- tystów zawodowych. Nie dziw więc, że przez salę wystawową przewijają się coraz to liczniejsze grupy ludzi, zatrzymując się przy każdym prawie dziale.

Ale wystawa ma swoje minusy. Oriento- wanie się wśród eksponatów bardzo powa- żnie utrudniają zbyt drobne napisy infor- macyjne. Trzeba mieć dobry wzrok, aby je odczytać. Nieraz trzeba ich szukać. Nie zdaje się też być szczęśliwym pomysł poka- zania tylko 4 regionów (podhalański, kra- kowski, kurpiowski i łowicki), oprócz wysta- wienia poszczególnych dziedzin sztuki lu- dowej. Można bowiem odnieść wrażenie, że w Polsce istnieją tylko te 4 regiony, tym więcej że z niektórych województw znaj- dziemy tu na wystawie zaledwie parę eks- ponatów. Na przykład na 711 prac — z wo- jewództwa poznańskiego znaleźliśmy aż... 4. Jakby u nas na prawdę nie powstawały przepiękne wyroby słomkarskie, rzeźby, tkaniny. Nasi artyści ludowi mogliby śmia- ło tu konkurować ze swoimi kolegami z Rzeszowskiego czy Krakowskiego. Nie zyskaliśmy, jak świadczy o tym inne dowody — „sympatii“ organizatorów warszawskich. Przed paru laty oglądaliśmy w Gorzowie Wystawę Objazdową, na której mapa wiel- kopolskich ośrodków sztuki ludowej wyka- zała nieznajomość naszego terenu. Wystawa Objazdowa na statku rzecznym (w czasie Festiwalu Młodzieżowego) pokazała pod na-

zwą „Wielkopolski“ strój ludowy, którego nikt u nas nie nosił. Wystawa zaś festiwa- lowa tegoroczna, pominęła młodych arty- stów z Wielkopolski.

Obecna ogólnopolska wystawa — naszym zdaniem — winna objąć na równi ze zna- nymi już, twórczość tych regionów, które w okresie międzywojennym zamaryły, a obecnie znowu zaczynają żyć. Bo i to chyba jest ważne.

Czyżby na wystawie było brak miejsca? Że nie, dowodzi duża ilość eksponatów z okresu międzywojennego, a także z wieków przeszłych. Zwiedzającemu zdaje się nieraz, że ogląda nie wystawę 10-lecia, ale w ogóle ogólnopolską wystawę sztuki ludowej w roz- woju historycznym. Czyżby zapomniano, że tytuł wystawy do pewnego stopnia obowią- zuje przy wyborze prac?

Pisząc o tym przypominamy, że i na na- szym terenie rozwija się sztuka ludowa, piękna i godna pokazania, tym więcej na wystawie 10-lecia.

P. R.



Bardzo bogato reprezentowany jest na wysta- wie dział tkanin ozdobnych. Oto tkanina dru- kowana kurpiowska Antoniny Kułis.

BRYK Z MITOLOGII

1. Od dawna już toczą się w naszej prasie kulturalnej i w środowiskach twórczych ożywione dyskusje na temat artystycznego oblicza naszych teatrów. Dyskusje, jak dyskusje, raz przybierają na temperaturze, to znów stają się letnie jak ustała woda. A w teatrach życie płynie normalnym tokiem. Ambitniejsze sceny nie ustają w poszukiwaniu własnej linii repertuarowej, która by je odróżniła od setki innych teatrów, mniej zaś ambitne odgrzewają starą, przetwarzoną już strawę i to w dodatku w konwencjonalnym na ogół sosie. Ale zostawmy te porównania i przejdźmy na własne podwórko.

2. Poznański Teatr Satyry liczy sobie właśnie dwa lata. Jest to w teatralnym żywocie okres niemal embrionalny. Pomimo to scena nasza ulegała w ciągu swego tak krótkiego żywota rozmaitym przeobrażeniom. I to począwszy od samej nazwy, a skończywszy na repertuarze.

Pierwsze programy były, tak jak we wszystkich teatrach satyrycznych, składane. Pewną ilość skeczów, monologów, piosenek starano się łączyć jakąś nicią przewodnią, która miała być kłajstrem spajającym całość przedstawienia. Już jednak przed pierwszą premierą doszliśmy do wniosku, że ta tradycyjna forma satyrycznych widowisk wymaga pewnych innowacji. Był to okres — war to o tym przypomnieć — kiedy obstrzał naszej satyry był wąziutki i cały szereg tematów uchodził za tabu. Dobry tekst nie mówiący o kelnerach, dystrybucji czy amerykańskim stylu życia był niezmierną rzadkością i z reguły rzucały się na niego wszystkie satyryczne sceny. I oto mieliśmy jedyne w swoim rodzaju zjawisko: w Łodzi, Krakowie, Stalagrodzie, no i w Poznaniu oglądaliśmy widowiska złożone w większości z jednako-

wych tekstów. Tu warto dodać, że środowisko naszych satyryków próbowało kilkakrotnie z powodzeniem wylać się z zakletego kręgu przyciasnej tematyki. Niestety nawet kilka jaskółek nie czyni wiosny.

3. „Satyra jest to utwór poetyczny, dydaktyczny — opisywy, przedstawiający dowcipnie świat i człowieka ze strony śmiesznej lub zdrożnej.” Takie określenie satyry znajdziemy w słowniku języka polskiego Karłowicza.

Utwór poetyczny? Czyżż może na sobie wyobrazić — znając większość naszych programów

niez oceniona nowa nasza premiera — komedia Artura M. Swinarskiego pt. „Achilles i panny”.

4. Wyostrzone pióro satyryka i parodysty znalazło w historii królewskiego domu Likomedesa znakomity temat. Patrząc na rozwijającą się akcję tej „zmysłowej” komedii pamiętajmy o jednym: nie jest to bryk z mitologii, a postacie pozbawione są mitologicznej dośójności. „Achilles i panny” — tak odczytali sztukę realizatorzy — to przede wszystkim do bry, sceniczny żart, którym bawić się muszą zarówno publiczność jak i aktorzy. Jednym z głównych elementów humoru jest tutaj swobodne operowanie anachronizmami. Oto na przykład Odys. Figura to równie chytra co śmieszna. Przyjrzyjmy się jakim ruchem wyciąga on z kieszeni swoją całkiem współczesną papierosnicę, aby zapalić współczesnego papierosa. Gesty jego, działy i zachowanie przypominają nam naszych przedwojennych oficerów. Albo biżuteria królewskich córek. Wcale nie usiłuje być w „stylu epoki”. Bo i po co? Przecież właśnie w tym pomieszczeniu epok, w prze rzuceniu pomostu pomiędzy omy mitologicznym okresem a dniem dzisiejszym tkwi także źródło naszej „zmysłowej” zabawy.

Swinarski nie jest satyrykiem grzecznym i unikającym drastyczności. Niektóre fragmenty jego komedii mogą się wydawać zbyt śmiało w sensie przyjętych zwyczajów scenicz-

nych. Ale przymknijmy na to oczy; nie zrzędźmy i nie narzekajmy. „Świat jest pełen kotłów przysnających garnkom” — powiada aforysta francuski La Rochefoucauld. Warto także przy okazji „Achillesa i panien” pamiętać o tej wcale niegłupiej maksymie. Nie oznacza to wcale — podkreślam dla uniknięcia nieporozumień — abyśmy solidaryzowali się z moralną postawą Achillesa i piątki nadobnych cór królewskich. Sztuka — powtórzmy raz jeszcze ten truizm — ma przecież prawo do przejawskawień.

Na koniec jeszcze słówko o autorze. Swinarski dobrze zna jest czytelnikom parodii i wierszy satyrycznych zamieszczanych w naszej prasie kulturalno-literackiej. Utwory jego odznaczają się niezmiernie celnym dowcipem, finezją i — co najważniejsze — mają przejrzyste określonych adresatów. Wydały przed kilku miesiącami tom „Parodii” zniknął z półek księgarskich w tempie zawrotnym.

Do najciekawszych prac scenicznych Swinarskiego należą, obok prezentowanej na naszej scenie komedii, — „Huragan” poetycka parafraza szekspirowskiej „Burzy”, sztuka o Krzysztofie Arciszewskim pt. „La-tający Holender” oraz „Legenda o dobrym mężu”.

Wspomnieć również trzeba o Swinarskim — tłumaczu. Do najwybitniejszych jego osiągnięć w tej dziedzinie należy przekład „Intrygi i miłości” Schillera oraz utworów Heinego.



A. M. Swinarski
(autokarykatura)

satyrycznych — coś bardziej rozbieżnego jak te dwa pojęcia: satyra i poezja. Gdzież do szukać się choćby cienia poezji? Czy w owych piaskach taniutkich skeczach, które za pomocą żucia gumy, wykładania nóg na stół itp. gierkę usiłowały ośmieszyć amerykański styl życia?

Można sobie założyć program minimalny i program maksymalny. Program minimalny to dążność do wywołania śmiechu widza za wszelką cenę. Program maksymalny wymaga założeń bardziej dogłębnych. Tu efekt nie zawsze się będzie objawiać w postaci gwałtownych wybuchów śmiechu. Często w czasie przedstawienia widzowi dane będzie doznać poza obowiązującą dawką humoru także i lirycznego wzruszenia.

Mówiąc o poezji nie mam na myśli jakichś ogromnych koturnów, które mają nam zastąpić brak dowcipu. Ani przez chwilę nie zamierzamy zrezygnować ze śmiechu. Takie jednak działanie na nastrojowych kontrastach zapada w psychikę widza daleko głębiej aniżeli łatwy, bezzmysłowy śmiech, do którego potrzeba tak ubogich bodźców.

W teatrze tego typu decydujące jest słowo. Tekst musi mieć duże walory literackie. Niełatwo to postulat, kiedy zwązamy, że niejednokrotnie na przeszkodzie w realizacji nadającego się dla naszej sceny utworu stoją tzw. trudności obiektywne. Kryją one za sobą brak własnej sali, brak własnych warsztatów technicznych, minimalną wreszcie ilość etatów aktorskich. Oto trudności zasadnicze, a ileż pobocznych! Włos się jeży na samą myśl o nich. Biliśmy wprawdzie przez długie miesiące na alarm, ale zbyt silne głosy dzwonów mają właściwość ogłuszania. No i te nasze alarmy ogłuszyły widać ludzi kompetentnych do ulżenia naszemu losowi...

W tej więc sytuacji kiedy wiele sztuk odpada z przyczyn, o których napomknęliśmy wyżej, staramy się pokazać po znańskiej publiczności w pier wszym rzędzie te utwory, które pomimo swojej bezspornej wartości nie przeszły dotąd pró by sceny. No i jeszcze jedno: mamy ambicję, aby sztuki te otrzymały na naszej skromnej scenie, gdzie jesteśmy tylko dość kłopotliwymi sublokatorami, jak najlepszą oprawę plastyczną.

Mówiąc o dobrej, nowoczesnej scenografii mam na myśli dążność do jak największej syntezy, do jak najcelniejszego skrótu scenicznego. Tylko bowiem celowa oszczędność środków plastycznych potrafi nalezycie podkreślić ładunek poezji i humoru. Tak było z „Babcia i wnuczek”. Tak, mamy nadzieję, zostanie rów-

WŚRÓD
NASYCH
PLASTYKÓW

Do najmłodszego pokolenia artystów polskiej sztuki należy Józef Stasiński, zdobywca nagrody na Ogólnopolskiej Wystawie Młodej Plastyki w Warszawie. Artysta ostatnio zwraca dużą uwagę na dziedzinę rzeźby w metalu, zwłaszcza medalierstwa.

(Fot. Ignor)



Gwidon Król

Zabytki śląskie w odbudowie

Jednym z największych rozdziałów osiągnięć Polski Ludowej jest realizacja wielkiego planu rekonstrukcji zabytków.

Powstają one do życia po raz drugi, jak feniks z popiołów, dając świadectwo naszej bogatej przeszłości kulturalnej. Stają się jednocześnie dziełami i zabytkiem dwóch — jakże różnych — epok: pierwszej, w której powstały i drugiej — naszej własnej — która wydobywa je z ruin, nadając im nowy charakter użytkowy i przystosowując je do potrzeb życia dzisiejszego.

Liczne wojny jakimi byliśmy nekani na przestrzeni dziejów (a zwłaszcza zakończona przed dziesięciu laty) poczyniły w

naszym dorobku kulturalnym dotkliwe i niepowetowane straty. I dlatego wszystko to, co jeszcze pozostało musimy odtwarzać i należała opieka, pamiętając, że dzisiaj każdy zabytek z całym wyposażeniem jest własnością narodu, a wartość jego oceniamy nie celem jaki spełniał, lecz wkładem pracy i wysiłku robotnika i rzemieślnika, który go wznosił.

Ochrona i odbudowa zabytków ma szczególne znaczenie na Śląsku, gdyż ich wyraz artystyczny mówi o miejscowej kulturze polskiej minionych wieków, a dzieje historyczne potwierdzają dobitnie przynależność tych ziem do Macierzy polskiej.

Jednym spośród licznych odbudowywanych obiektów jest kościół pod wezwaniem św. Wojciecha we Wrocławiu, na którego przykładzie można wykaazać oddziaływanie wartości artystycznych i zarazem wzajemne powiązanie ośrodka krakowskiego i wrocławskiego.

Zbudowany w XI wieku, był pierwszą świątynią lewobrzeżnego Starego Wrocławia (Katedra mieściła się na Ostrowie Tumskim). Wzniesiony został na skraju osiedla w miejscu skrzyżowania prastarych dróg handlowych wiodących z nad Adriatyku przez Poznań ku brzegom Bałtyku oraz z dalekiego zachodu przez Bramę Łużycką, Legnicę do Wrocławia i dalej na wschód do Krakowa. Tęgo rodzaju usytuowanie kościoła jest zjawiskiem charakterystycznym występują-



Pocztę czeskosłowacką z końcem październiką br. wydała specjalną serię znaczków, upamiętniającą te gorące rocznice kulturalne. Po jednym znaczku poświęcono: H. Ch. Andersenowi (30 hal. — czerwony), F. Schillerowi (40 hal. — niebieski), Adamowi Mickiewiczowi (60 hal. — fioletowy) i Waltowi Whitmanowi (75 hal. — czarny). Wszystkie znaczki wydrukowano techniką stalorytniczą. Projektował autor najlepszych czeskich znaczków — prof. K. Svolinsky, rytował — S. Jindra.

Do znaczków wydano okolicznościową ozdobną kopertę. W lewym dolnym rogu całostki znajdują się nazwiska pisarzy, którym poświęcono znaczki okolicznościowe laurem. Całość sprawia ładny i estetyczny wrazenie. (jk)

Proust ułaskawiony?...

W oknach księgarń, w katalogach wydawniczych pojawiają się nazwiska, które bardzo rzadko, albo też wcale nie były wymieniane w pracach krytycznych i dyskusjach naszego Dziesięciolecia. „Wyskoczyli nagle, jakby zwinili się jakaś sprężyna” — powiada mój znajomy.

Mówi się na ten temat szeroko, słyszymy w związku z tym rozmaite sprzeczne uwagi. Ponieważ wiązka ich pęcznieje coraz bardziej, zwłaszcza w środowisku inteligentnym, studenckim — wypada nam, dziennikarzom, również wypowiedzieć się, może z perspektywy nieco bardziej ogólnej.

Istotnie, mogło zrodzić się przypuszczenie, że tacy pisarze jak Dostojewski, Proust, Chesterton, Hesse, a z polskich — Strug i Makuszyński ulegli w naszych warunkach zapomnieniu. Trwałe, niezwykle cenne karty historii literatury! — można by dodać, w celu pogłębienia naszej polityki kulturalnej.

Większy pożytek niż załamywanie rąk przyniesie nam jednakże chwila zastanowienia.

Powiedzmy od razu: stało się bardzo niedobrze, że wiele imion wybitnych artystów pokryła zasłona milczenia. Należało w każdym razie ustosunkować się do nich — pozytywnie bądź krytycznie — a tak się, niestety nie stało. Upředzenia, małostkowość zrobiły swoje. A z tych właśnie źródeł bierze się ogromna większość nieporozumień wśród literackiej publiczności.

Co w zasadzie, naprawdę, dopiero teraz dojrzał czas wydania takich pisarzy jak Dostojewski. Jest rzeczą zrozumiałą, że w ciągu krótkich dziesięciu lat mieliśmy do odrobienia — i odrobiliśmy — tak olbrzymie zaległości, mieliśmy tak pilne, pierwszoplanowe potrzeby — że wszystko, co budziło jakąś głębszą, trudną do szybkiego rozstrzygnięcia różnicę zdań, co stwarzało potrzebę znalezienia nowego spojrzenia — odsuwano z konieczności na okres późniejszy. Przede wszystkim przecież, i słusznie, forsowaliśmy politykę kulturalną wszę: szło o udostępnienie najlichnieszym rzeszom ludzi skarbów piś-

miennictwa narodowego i głównych klasyków obcych, a także ważniejszych pozycji literatury współczesnej.

Ale podkreślmy równocześnie, że nigdy np. Proust nie znajdował się na żadnej „czarnej liście”, „indeksie” — jak wielu to może sobie tłumaczy. Obecnie zaś — przedłużamy ich myśl — został ów pisarz wpuszczony łaskawie z „obozu kapitalistycznego” do „obozu socjalistycznego”.

Jest to mimowolna parodia. Czas przywrócić pojęciom ich normalny wymiar i treść. Redaktorzy — asekuranci, którzy zabiegali gorączkowo o stempel nieomyślności, jak diabła bojąc się ryzyka, należą w poważnym stopniu do przeszłości. Trzeba powiedzieć jasno: cenimy, podziwiamy, pragniemy przekazać naszemu czytelnikowi głębie i bogactwo uczuć, doznania estetyczne i doskonałość stylu wszy stkich wielkich artystów, nawet jeśli ich filozofia daleko odbiega od naszej. To nie znaczy wszakże, że rezygnujemy z krytycznej oceny ich dzieł — z naszych pozycji.

Słowo „koncesja”, „ustępstwo” brzmi po prostu śmiesznie, zdradza brak podstawowej orientacji u tych, którzy je wypowiadają. I jeszcze jedno konieczne uzupełnienie: zła, deprawująca literatura naprawdę istnieje i dla niej dostęp do nas będzie zawsze zamknięty. Choćby nawet pan Miko Spillano, propagator zbrodni, gwałtu i wszelkich zbrodni, pisał dobrze i zajmująco. Działanie tej literackiej trucizny przybrało już dziś postać poważnej klęski społecznej na Zachodzie.

Przeistniał zatem w prywatnych rozmowach przemalowujący Prousta na czerwono, białe lub czarno — w zależności od „konjunktury”. To bardzo jałowa zabawa. A inna zupełnie sprawa, że atmosfera zbliżenia między narodami sprzyja wszechstronnej wymianie kulturalnej, czyli w naszym praktycznym przypadku — przyczynia się do szybszego, bardziej elastycznego wydawania wybitnych obcych — a wraz z nimi także naszym nieżyjących — pisarzy.

STEFAN RYMARZ

Wielkie
rocznice

Biurow Światowej Rady Pokoju w Wiedniu ogłosiło nazwiska wielkich mężów, których pamięć świat kulturalny czcić będzie w roku przyszłym. Są to:

BENIAMIN FRANKLIN, amerykański mąż stanu, pisarz, który przed 180 laty podpisał deklarację niepodległości Stanów Zjednoczonych. 250 rocznica jego urodzin przypada na 17 stycznia 1956 roku.

WOLFGANG A. MOZART, którego 200-lecie urodzin przypada 27 stycznia przyszłego roku.

HENRYK HEINE, poeta niemiecki, który zmarł przed 100 laty — 17 lutego.

PIOTR CURIE, który wraz z małżonką Marią Curie-Skłodowską dokonał odkrycia promieniotwórczych pierwiastków polonu i radu. Dnia 19 kwietnia 1956 roku przypada 50-lecie jego śmierci.

HENRYK IBSEN, norweski dramaturg. Zmarł przed 50 laty, 23 maja.

GEORGE BERNARD SHAW, irlandzki dramaturg. 100-lecie jego urodzin przypada na dzień 26 lipca 1956 r.

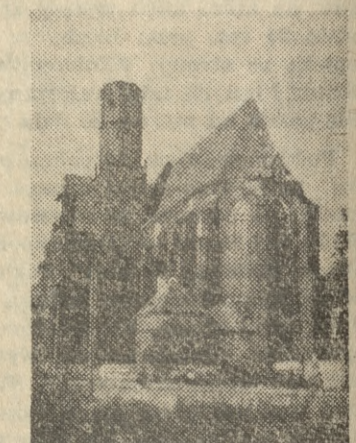
REMBRANDT VAN RIJN, wielki malarz holenderski. 350-lecie jego urodzin uczymy 4 października.

FIODOR DOSTOJEWSKI, wielki pisarz rosyjski. 75-lecie jego śmierci — 11 listopada.

KALIDASA, największy dramaturg i liryk hinduski. Żył w 5-tym stuleciu przed n. e. i pozostawił kilka dramatów osnutych na staroindyjskich sagach.

TOYO ODO, największy malarz japoński, który zasłynął pod imieniem Sesshu, —450-lecie jego śmierci. (hb)

List z Wrocławia



Kościół św. Wojciecha. Stan z września 1955 roku.

Fot. Alicja Król

została dachu i okien nie mówiąc już o takich „detalach” jak wyrwy w ścianach i przyporach. Bogate wyposażenie wnętrza znikło bez śladu. Ocalała tylko boczna kaplica pod wezwaniem błogosławionego Czesława Odroważy (zmarłego w 1252 r.), który przywiózł do Wrocławia dominikanów krakowskich. Kaplica zbudowana została w stylu barokowym w latach 1711—18.

Obecnie wygląd kościoła z lat powojennych uległ zasadniczej zmianie dzięki odbudowie przeprowadzonej z funduszu Ministerstwa Kultury i Sztuki oraz składek społeczeństwa wrocławskiego.

Świątynia pokryta jest już dachem, wieża zabezpieczona, odbudowane sklepienia prezbiterium, uzupełnione szczyt w murach i przyporach, wykonane łaskowania kamienne i oszkłona okna.

Dzisiaj — znowu polski — Wrocław leczy szybko bolesne rany, którymi okupił musiał powrót do Macierzy.



Kościół św. Wojciecha we Wrocławiu. Stan z 1945 r.

Fot. Krystyna Neumanowa

Fizyk i humanista sprzed 2500 lat

Filozofia, namietność starożytnych Greków, fascynowała umysły już u kolebki naszej cywilizacji. „Umiłowanie mądrości” — tak bowiem dosłownie wyklada się z języka greckiego wyraz „filozofia” — wystąpiła też jako pierwsza nauka, rozwijając się zrazu samotnie, pozabawiona pomocy nauk innych, które miały się ukształtować i samookreślić dopiero z czasem. Powstanie i budowa Wszechświata, istota i postępowanie rzeczy i zjawisk — stanowiły znak zapytania. Tu więc, w Helladzie i na pobliskich wybrzeżach Azji, pod zawsze błękitnym niebem, a zawsze rozgwieżdżonym nocą niebem — inteligentne i skłonne do refleksji szczepki przesyły, jako jedne z pierwszych, kopułę nieba i mrok Wszechświata odważną myślą.

Najstarsi joińscy „filozofowie, przyrody” kładą w domysle filozoficznym znak równości między materią i energią, chociaż tę ostatnią nazywają jeszcze niezręcznie „życiem”. Minie dwa i pół tysiąca lat i przyjdzie Albert Einstein, który prymitywnie zredagowaną tezę ubierze w szatę swego sławnego wzoru, matematycznym już znakiem równości między masą i energią, rozwijając niejako cywi-

Dr Wł. Krzyżaniak

lizacyjny sztandar nadchodzącej „ery atomowej”. Niebawem po Jończykach ma wyrosnąć jedna z najstarszych w dziejach teorii fizycznych. Czytelnika uderzy, jak znowu ta teoria w perspektywnym zbiegu z tezą o równowadze masy i energii po dwóch i pół tysiącach lat doczeka się nowej szaty w ostatnim słowie fizyki współczesnej.

Heraklit z Efezu, badacz krytyczny i polemiczny zarazem. Swoją „akmé” — szczytową działalność, jak mawiali Grecy, rozwijał niemal współcześnie ze swymi joińskimi prekursorami. Żyjąc w ciemnym, „ciemnego” wyrażania myśli, śmiało ataki przeciw uświęconym autorytetom i poglądom — to również w tej odległej epoce nie jednako sympatii, bo małość ludzka jest stara jak ludzkość. Oto dość zwykły finał ludzi pływających pod prąd: osamotnienie i gorz. Heraklit miał własne koncepcje, przeciwstawiał się cudzym. Burzył euforie, zasiewał niepokój poznawczy. Zarówno uczonej Epistemon, jak chłopce - roztropke Eudoxos i światowy bywalec Polyander*) nie mogą wobec rewolucyjnej teorii przejść bez zajęcia stanowiska, a wiadomo, jaką niechęć budzi nacisk cudzej zaskakującej myśli. „Większość ludzi nie zastanawia się nad

takimi rzeczami, na jakie się natyka, ani rozumie, czego doświadczyła, ...nie jest zdolna ani słuchać, ani mówić”. Musimy przyznać, taki sarkazm może drażnić ludzi, o których Heraklit ironicznie mówi, że „są i nie ma ich” (**).

„Wszystko płynie” (panta rhei) — oto punkt wyjścia. „I nic nie stoi. Nie można dwa razy wstąpić do tej samej rzeki, ...choć się i wstąpi do tej samej rzeki, ciągle nowe napływają fale”. Zmienność jest więc obrazem rzeczywistego świata. „Jesteśmy i nie jesteśmy zarazem” i to jest los całej, zmieniającej formy swego trwania materii. Oto istota heraklityzmu: zmienność jako atrybut bytu. „Słońce jest co dzień nowe”.

A zatem — ciągłe przejścia jednej formy w następną. Coś powstaje, dojrzewa, by się nieuchronnie przesiłić. „Bardzo dobry wykład dialektyki” — opiniuje o Heraklicie Lenin. „Świat był zawsze, jest i będzie żywym ogniem” — mamy tu jednak prawo dorozumiewać się, że Heraklit nie pojmował „ognia” w prymitywnym sensie dosłownym, ale ma na myśli pewne pojęcie ogólne fizyki, na które brak nam odpowiednika.

„Szukam samego siebie... zba-dalem samego siebie”. Wynik jest destrukcyjny, przynajmniej dla sfery poznawczej naszej świadomości, bo „natu-ra lubi się ukrywać”, a „oko i ucho są dla człowieka zły-mi świadkami”. Uchylamy czoła przed najstarszą w kulturze europejskiej troską o przyszłość fizyki, gdyby miała być pozbawiona instrumentów badawczych, przedłużających pracę zmysłów. Wobec tymczasowego ich braku Heraklit „daje pierwszeństwo doświadczeniu”, ale przewiduje wprawdzie wzięcie do ręki wartości obserwacji dla dwóch obserwatorów, postrzegających z różnych stanowisk fizycznych: „Gdyby wszystko, co istnieje, stało się dymem, to postrzegaliby się węchem”. Jak uprzedziliśmy, do zbliżonej idei

względności obserwacji nawiązuje po dwóch i pół tysiąca lat współczesna fizyczna teoria względności: porównuje spostrzeżenia obserwatorów jednego „zdarzenia”, gdy jeden porusza się względem drugiego. Trzeba przyznać, że Heraklit fałszywie dalej wnioskował, wyrażmy się tak, o „na prawdę” względnych nawet własnościach materii. Darujemy mu ten błąd, zważywszy, że nawet poprzednik Einsteina, wybitny fizyk Lorentz, zasobny w fantastyczną aparaturę naukową i potężne środki matematyki, wobec których wyposażenie starożytnego „fizyka” jest po prostu zerem, — padł ofiarą tej samej, co on, mistyfikacji (**). Einstein orzeka tylko o względnych wynikach obserwacji, nie podejmując jednak materii, że — wskutek zmiany stanowisk obserwacyjnych — zmienia się i ona sama „na prawdę”. Względność (relatywizm) materii, reprezentowana na historycznych antypodach przez parę: Heraklit - Lorentz, musi tak ustąpić względności (relatywizmu) tylko obserwacji i materii i uratowana zostaje kompromisowo obiektywna poznawalność Wszechświata.

Zaniedbując tu inne pomysły Heraklita, nawiążemy w zakończeniu do zapowiedzianego w nagłówku, jego — humanizmu. Szerokość horyzontów umysłu kierowała myśl ku głębskiej refleksji nad istotą i powołaniem człowieczeństwa, ku swoistej i pięknej etyce.

W końcu XVIII i początkach XIX wieku upięcie węża na głowie męskiej było tym rekwiizytem, bez którego żaden szanujący się elegan nie pokazywał się publicznie. A ułożenie jej zajmowało z pewnością więcej czasu, aniżeli przeczesanie obecnej fryzury męskiej.

Od halsztuka do krawata...



— Niech to diabli wezmą! — krzyknął zniecierpliwiony Jurek, męcząc się z węzłem u krawata, który mu jakoś dzisiaj nie udawał się. — Nasz dziadowie mieli stanowczo lżejsze życie! Z pewnością nie tracili tyle czasu, aby uczynić zadość wymogom mody...

— Jakiś ty naiwny! — odezwał się z narożnika pokoju dziadek. — Bądź pewny, że za moich czasów kunsztowne zdobienie szyi męskiej zajmowało o wiele więcej czasu!

W swoich początkach krawat zastępowany był chustką, którą kończono zwykłym węzłem. W okresie baroku, gdy mężczyźni nosili na głowie falujące peruki, szyję ich zdobił długi szal, którym tzw. „silna pleć” owijała kilkakrotnie szyję. Końce szala zdobiły cenne koronki, przy czym jeden z nich przerzucano przez drugi.

Gdy nadeszła moda rokokowa, pojawił się na szyjach męskich w miejsce szala żabot koronkowy, wykończony kun-



stownie ułożonym kolorowym węzłem. Dodajmy jeszcze, że w owych czasach peruka na głowie męskiej była tym rekwiizytem, bez którego żaden szanujący się elegan nie pokazywał się publicznie. A ułożenie jej zajmowało z pewnością więcej czasu, aniżeli przeczesanie obecnej fryzury męskiej.

W końcu XVIII i początkach XIX wieku upięcie węża na głowie męskiej było tym rekwiizytem, bez którego żaden szanujący się elegan nie pokazywał się publicznie. A ułożenie jej zajmowało z pewnością więcej czasu, aniżeli przeczesanie obecnej fryzury męskiej.

nało się w zwykły węzeł. Im dłuższe były końce, tym dumniejszy był ten, który je obnosił. Dodajmy, że ów ostatni szczegół — nosił charakter podobnego wynaturzenia w zasadach mody męskiej, jak paradujący w czasach naszych bikiniarz, na którego krawacie tańczą na przykład małpy.

Okres biedermeierowski podniósł znaczenie krawata. Mężczyźni nakładali w tych czasach na swe torsy prążkowane wkładki — przodki, ukrywając je pod kamizelką. Szyję zdobił zarówno wysoki kołnierzyk, dookola którego okracano kilkakrotnie krawat, wykończając go skomplikowanym węzłem.

Półowa wieku XIX przyniosła z sobą pierwsze właściwe krawaty oraz modne podówczas muszki, dobrane do wy-sokich jeszcze nadal kołnierzyków. Wkładki jak również kamizelki cieszyły się olbrzymim powodzeniem ówczesnych dandyśmów.

Pod koniec wieku XIX i w początkach XX pojawiły się słynne płaskie kapelusze słomiane, zdobione kolorowymi wstążkami. Uzupełnieniem okrycia głów były krawaty, zbliżone już w swoim kroju do nam współczesnych. Z końcem lat trzydziestych naszego wieku, zniknęły wreszcie bezpowrotnie niewygodne, wysokie i na sztywno krochmalone kołnierzyki męskie. Nastąpiła era miękich koszul oraz takich samych kołnierzyków o kroju nie odbiegającym od obecnego. Jednocześnie koszule sportowe zaczynają coraz więcej zdobywać uznanie mężczyzn. W związku z tym węzeł u krawata dostosował się do fasonu kołnierzyków i zmniejszył poważnie swe wymiary.

A więc, drogi Jurku, nie denerwuj się, jeżeli nie możesz dać sobie rady z uwłazaniem krawata. Nosisz zapewne przy swej koszuli kołnierzyki z rozstawionymi narożnikami, więc i supełek musisz tak uwłazać i nie przejmuj się! Jeżeli nawet przyjdzieś do pracy bez krawata, to i tak niczego nie uronisz ze swej męskiej elegancji.

Jot.



Adam Dytkiewicz

50 lat turystyki w Beskidzie

Na hali. (Ze zbiorów artysty fotografika M. Myszkowskiego).

Oddajmy głos czcigodnym strzępom zdań, uratowanym z przepaści tysiącleci. „Trzeba pamiętać i o tym, który nie pamięta, dokąd droga wiedzie, ...myślenie jest najprzedszy-mym przymiotem i mądrością jest mówić prawdę, ...Poszuki-wacze złota rozgrzebią wiele ziemi” — znajdując mało, „Czas (Eon) jest bawiącym się, w warcabu grającym dzieckiem, a dziecko jest królem, ...swa-wolę trzeba jeszcze więcej tłumić, niż pożar, ...za prawo winien lud walczyć, jak za swe mury”.

Te „poważne, bezodrobne, szorstkie słowa” — parafrazu-jemy tu samego pierwszego wśród filozofów i fizyków hu-manistę — „przenikają swym głosem tysiące lat”. Dlatego przypominamy je współczesnemu Czytelnikowi.

*) Filicyjne postaci, symbole trzech orientacji poznawczych. Wprowadził je z pożytkiem dla ich dyskusji — filozof Kartezjusz.

**) Zdania wyodrębnione graficznie są oryginalnymi cytatami z Heraklita.

***). Wyobrażał sobie mianowicie, że materia w ruchu doznaje „skrócenia”, a czas dla niej płynie „wolniej”.

Materiały: „Fragmenty przedsokrateskich” Diels 1922 (teksty), opracowanie polskie Witwickiego, przekład „Myśli” Leopolda Staffa.

Życie utajone w ampulkach

Jerzy Lutomski

GODZINA dwudziesta. Kilka oświetlonych okien poznającego Zakładu Mikrobiologii Lekarskiej rzuca na ciemną ulicę jasne plamy światła. Mimo późnej pory odważyłem się dostać do wnętrza. Pukałem, ale pukania — zdaje się — nikt nie słyszał. Zagłuszył je warkot silniczka poruszającego jakieś bliżej nieznane mi urządzenie. Asystenci dr Kotelba i dr Pawlak zajęci byli zatapianiem ampulek, które podłączone do „tajemniczego” aparatu tworzyły gwałtowny układ. Dno każdej ampulki pokrywało pył substancji. Było to — jak się później dowiedziałem — wysuszone szczepki bakteryjne.

Za 100 lat powrócą do życia...

— Możemy wreszcie porozmawiać — zwrócił się do mnie doktor Kotelba — odstawiając mikropalnik. Trochę trzeba było poczekać, ale za to zobaczył pan proces liofilizacji.

— Liofilizacji?

— Tak. Po polsku proces ten nazywa się suszeniem drobnoustrojów ze stanu zamrożenia.

— Zamrożenia?

— Bakterie zamraża się najpierw w niskiej temperaturze —70 stopni C., a następnie dopiero suszy się pod zmniejszonym ciśnieniem. W ten sposób usunięta zostaje z drobnoustrojów woda, oczywiście w warunkach zabezpieczających ich żywotność.

Aparat do „liofilizacji” zaprojektowany przez dr. Kotelbę.

Czytelników-turystów zain-te-resuje z pewnością wiadomo-sć o obchodzonej niedawno 50 rocznicy powstania Oddzia-łu Babiogórskiego, dobrze za-pisanego w historii ruchu tury-stycznego w Beskidach. Warto z tej okazji przypomnieć parę szczegółów z dziejów tego o-środka, do którego rokrocznie ściągają rzesze turystów z ca-łego kraju.

Babia Góra jeszcze w połowie XIX w., prócz pasterzy owiec, była nikomu nieznana. Pierwszymi turystami, którzy dokonali „odkrycia” Babięj Góry, byli: katecheta Janota i artysta-malarz — Walery Eliasz Radzikowski. Za nimi (1876 r.) zwiędzał Babia Górę dr Zapa-łowicz, który wraz z innymi bada-czami napisał monografię o roślin-ności babiogórskiej. W roku 1894 wyznakowano pierwsze znaki tury-styczne z Zawoi przez Policzne, Gronik i Czałozę. W 1905 r. wybu-dowano pierwsze schronisko w Be-skidach i założono oddział Pol. Tow. Tatrzńskiego, który umieścił szereg tablic-drogowskazów na ba-biogórskich szlakach turystycz-nych. Dr Zapałowicz, prezes oddzia-łu babiogórskiego, przystępuje do budowy drugiego schroniska na Markowych Szczawinach, znakuje szlaki z Zawoi na Babia Górę i do Sucheju. W 1910 r. oddział przenie-siono z Zawoi do Żywca. Rok 1924 zastaje dalsze schronisko u stóp Glinnej Przełęczy i masywu Pilska. Powstają koleje: w Białej, Ma-dowicach i Zwardoniu, zrzeszające kilka tysięcy turystów. W 1930 r.

do 1932 r. powstaje schronisko w Zwardoniu. Okupacja hitlerowska zniszczyła dorobek oddziału babiogórskiego w Żywcu.

Rząd Polski Ludowej, doce-niając zagadnienie ochrony przyrody i zabytków kultury narodowej, postanowił utwo-rzyć Babiogórski Park Narodo-wo, na terenie najwyższego szczytu Beskidu Śląskiego. Obecnie szlakiem babiogórskim wędrują tysięczne rzesze tury-stów z różnych części Polski, a zwłaszcza ze Śląska.

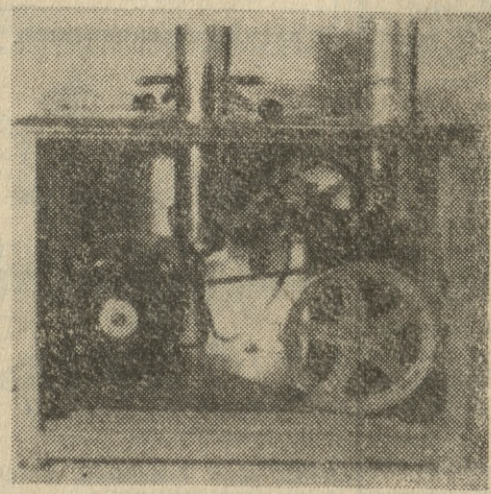
Niedawno otwarto „Szlak Partyzantów Radzieckich”, biegnący od Zwardonia po-przez Ożnę, Przegibek, Rycerzo-wą, Mładą Hornę, Muřcuł, Uj-solę, Zlatną do Lipowskiej. W okolicach tych od października 1944 do kwietnia 1945 r. działa-ła na tyłach okupanta grupa partyzantów radzieckich (oko-ło 60 ludzi) „Awangard” pod dowództwem kpt. Jefremowa. Grupa ta, prócz działań wojsko-nych, chroniła ludność miejsc-o-wą przed represjami okupanta. Jej działalność przyczyniła się do szybkiego oswobodzenia zie-mi żywieckiej z niewoli faszy-stowskiej. Turysty, przemierza-jący ten szlak, wspomną o tych, którzy nie szczędzili swej krwi, by polskim górą przywrócić wolność.

Muzeum utajonego życia

Osobliwe to muzeum, jakie posiada Zakład Mikrobiologii Lekarskiej AM w Poznaniu. Mieści się ono w żelaznej szafie, gdzie w drewnianych kasetkach spoczywa blisko 200 „zasuszonych” szczepów bak-teryjnych utraconych wed-lug opisanej wyżej metody. Typowe szczepki drobnoustro-jów chorobotwórczych stano-wią okazy muzealne utajone-go życia. Są one nieodzowne do produkcji standardyzowa-nych surowców i szczepionek bakteryjnych (BCG, przeciw-ospowej itp.), w przemysle fermentacyjnym celem zabez-pieczania czystości hodowli produkcyjnych, następnie — jako wzorcowe do celów diagno-stycznych oraz do celów dy-daktycznych na ćwiczenia ze studentami AM. Trwała kon-serwacja szczepów bakteryj-nych posiada również duże znaczenie dla prac nauko-wych pozwalając na zabezpie-czenie ciągłości doświadczeń, na utrwalanie drobnoustro-jów w pewnych stadiach ich rozwoju. Ze względu na łat-wość i bezpieczeństwo trans-portu szczepów konserwowa-nych, są one korzystne dla wymiany międzyzakładowej, a nawet międzynarodowej w celach produkcyjnych (ostat-nio sprowadziliśmy z ZSRR wysoko wydajny szczep do pro-dukcji penicyliny), identyfika-cji, klasyfikacji itp.

A dawniejsze metody prze-chowywania szczepów? Po-wiemy krótko — były niepew-ne, uciążliwe, kosztowne, wy-magały wiele czasu i nie da-wały gwarancji zachowania szczepu.

Nowa metoda utrwalania drobnoustrojów, nad którą jako jeden z pierwszych w kraju rozpoczął badania dr Mikrobiologów zamienili się w Kotelba z Zakładu Mikrobi-ologii Lekarskiej AM w Pozna-niu, oznacza duży postęp w cie mikroorganizmów nieat-



U KRAWCA

Rzecz się dzieje w pracowni krawieckiej. Krawiec, Klient, Nieznajomy.

Klient: — Dzień dobry. Można sobie uszyć u pana ubranie?

Krawiec: — Bardzo proszę. Materiał już pan ma?

Klient: — Właśnie chcę kupić, tylko nie wiem, ile...

Krawiec: — A ile pan dotychczas kupował?

Klient: — Trzy metry.

Krawiec: — To co się pan pyta, ile? Przecież nie skurczył się pan.

Klient: — Ale w gazetach piszą, że we Włoszech i Niemczech zachodnich już z dwóch z czymś metrów krawcy szyją ubrania...

Krawiec: — To imperialistyczna propaganda. Oni specjalnie rozpuszczają takie pogłoski, żeby poderwać zaufanie do naszego ludowego rzemiosła.

Klient: — Przecież i u nas

w kraju robi się takie eksperymenty. W różnych miastach na oczach publiczności krawcy kroją i szyją ubrania z 2,20, 2,30 i tak dalej.

Nieznajomy: — Przepraszam, że się wtrącam. Może tamci klienci byli niżsi od pana?

Klient: — Jeden był rzeczywiście niższy o centymetr, drugi miał identyczny wzrost, sprawdziłem.

Nieznajomy: — Już wiem! Byli szczuplejsi!

Klient: — Wręcz przeciwnie. Mam w obwodzie tali mniej o centymetr niż jeden i o trzy centymetry mniej niż drugi.

Krawiec: — Ale dla pana figury potrzebny jest materiał w deseń, a materiału w deseń trzeba więcej, żeby rękaw nie szedł pod włos, bo to nie jest zgodne z prawidłowym ułożeniem. Poza tym nasza moda ludowa i krój detali uwzględniają proste paski w plecach, a to

musi spowodować straty w rozkładce.

Nieznajomy: — Przepraszam, że się znowu wtrącam. Przy takiej figurze jak pańska, nie da się w żaden sposób wykroić z jednej szerokości pleców, rękawa wierzchniego i tylnej nogawki. Nauka temu zaprzecza. Pomiary ciała ludzkiego są ściśle, więc ściśle muszą im odpowiadać wymiary tkaniny. Bez względnie radzę trzy metry materiału.

Klient: — Bardzo przepraszam, czy pan jest może z Instytutu Badań Antropometrycznych?

Nieznajomy: — Nie.

Klient: — Z Centralnego Laboratorium Odzieżowego?

Nieznajomy: — Nie.

Klient: — A czy można wiedzieć, kim pan jest?

Nieznajomy: — Jestem czapnikiem, proszę pana. Czapki szyję...



Rys. Bidstrup, Kopenhaga

KONRAD DOBERSCHÜTZ

PROŚBA

Z prasy: W najbliższym czasie w Poznaniu odbędzie się zjazd czarodziejów i iluzjonistów z całego kraju.

Iluzjoniści, mnemotechnicy i te de...
Przeróżne Balsamy, Zwirlicze, jogi,
Ach, wyczarujcie w naszych M. H. D.
Buciki na dziecięce nogi!



PŁOMIENNA MIŁOŚĆ

Obywatel Herwart, mieszkaniec holenderskiego miasta Utrecht, jest z zawodu strażnikiem. Zapalał on niedawno wielką miłością do pewnej dziewczyny, która nazwała go jednak tehrzem i zerwała z nim raz na zawsze. Zawiedziony Herwart nie dał za wygraną. Podpałił więc jej domek w nocy, że będzie miał okazję wynieść ją z płonącego domu na własnych rękach. Sprawa wyszła na jaw i obecnie gorący młodzieniec urzeczywistnia swój ideał serca z... dwa lata.

TYLKO DLA WĘDKARZY

Paryscy wędkarze nie mogą narzekać na brak zainteresowania się ich potrzebami. Ostatnio jedna z fabryk chemicznych wypuściła na rynek perfumowane przynęty na ryby w postaci przeróżnych mikstur pakowanych na wzór past do zębów. Wytrawni rybolowcy mówią, że największym powodzeniem u ryb cieszą się mieszanki z zapachami anyżu i mięty.

TEN JEST KONSEKWENTNY

Bank, w którym malarz surrealistyczny Salvador Dalí posiada swe konie, wzbudził się przy okazji jego własnoręcznie podpisanego czeku wyplacić okaziecielowi należną sumę. Wspomniany artysta znany jest z tego, że jeszcze nigdy nie udało mu się podpisać dwa razy w identyczny sposób.

EDMUND KNOPKIEWICZ

Bywa i tak

Umilkły hałasy, rozmowy i krzyki, bo rozległ się śmiały głos samokrytyki. Przemawiał kierownik: „Droży towarzysze. Odgłosy krytyki oddolnej ja słyszę! I wdzięczny wam jestem niezmiernie, rodacy, za śmiałe wskazanie minusów mej pracy.

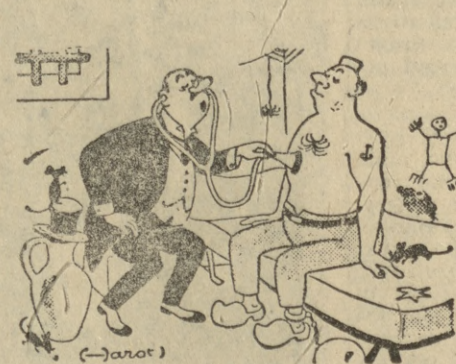
Kolega Płysz słusznie powiedział na wstępie, że słabo rozróżniłem finansów ja tępie. Nie można powiedzieć, by były w ciemności. Ma rację! Sam dotąd niesłusznie brałem premię!

Krytyczne spojrzenie kolegi Kuleszy na przerost etatów — niezmiernie mnie cieszy. Przyznaję, kolego — że rację tu macie. Toż sami siedzicie na zbędnych etacie!”

Na koniec powiedział: „...krytyków szanuję, ponieważ przyjać w nich widzę namiętnych. W płomieniach krytyki myśl słuszna kielkuje, więc... mówcie! Kto jeszcze?”

Nie było już chętnych.

(Z SATYRY HOLENDERSKIEJ)



Radzę panu tymczasem nie wychodzić.

Ja mówię i mówię i zupełnie zapomniałam spytać pana, po co pan właściwie przyszedł.

Anglicy o Amerykanach

Niedawno wydawnictwo S. Ewelyn Thomasa w Londynie wypuściło książkę pt. „Śmieję się z Yankesów”. W książce tej zebrane są anegdoty o Amerykanach.

Zbiór składa się przeważnie z ustnych anegdot, które odpowiadają w pewnej mierze na pytanie, co myślą Anglicy o Amerykanach.

POMNIK STAROŻYTNOŚCI

Parowiec oceaniczny wpływał do portu w Nowym Jorku. Na pokładzie pasażer Amerykanin z dumą pokazywał Francuzowi posąg Wolności. Patrząc w zamyśleniu na posąg, Francuz rzekł:

— Tak, u nas także są pomniki wielkich i sławnych nieboszczyków.

TANIEJ OD ROZWODU

— Chcę rozwieść się z mężem — powiedziała artystka amerykańska wchodząc do gabinetu adwokata nowojorskiego.

— Bardzo proszę — odpowiedział z gotowością adwokat. — Za trzysta dolarów rozpocznę natychmiast kroki rozwodowe.

— Trzysta dolarów?! — wykrzyknęła artystka. — Nic z tego nie będzie! Zastrzelenie męża będzie taniej kosztowało. Za to weźmą ode mnie tylko... sto pięćdziesiąt dolarów.

RZECZOWA PROPOZYCJA

Amerykański businessman przeprowadził swoje dzieci do londyńskiego ogrodu zoologicznego. Dzie-

ci biegali z piskiem i krzykami od klatki do klatki. Yankes podszedł do jednego z pracowników i rzekł:

— Przyjacielu, zaprowadź mnie do swojego gospodarza. Mam do niego interes.

— Jaki interes? — zapytał podejrzliwie solidny pracownik.

— Nic osobliwego. Po prostu bardzo mi się podobała wasza mała wystawka i chcę ją kupić dla swoich dzieci.

— Nic z tego nie będzie, sir — odpowiedział pracownik. — Ale ja mogę panu zaproponować inną rzecz: my kupimy pańskie dzieci do naszego ogrodu.

PRZYJACIEL RODZINY

Na audjencji u papieża amerykański businessman długo potrażał wyciągniętą do niego do pocałowania rękę Jego Świątobliwości i mówił:

— Bardzo się cieszę ze znajomości z panem, sire. Kiedyś miałem przyjemność znać pańskiego ojca, nieboszczyka papieża...

WITOLD DEGLER

Satyryczne »Głosy i od — Głosy«

PRETEKST

Trudno skłonić się przed tekstem, w którym słuszność jest — pretekstem!

SROGI ANALITYK...

Srogi analityk wszedł na zgubny ten tor: miał być z niego krytyk — a jest mętny mentor.

PROFESOR NAUK KABARETOWYCH

Przybrał mędrca wyraz sów. Co wyłożył? Nihil novi...

PIGUŁKI

Był to świetny lekarz. Mógł się co prawda omylić w postawieniu diagnozy, ale każdy błąd uzupełniał wkrótce niezbitymi dowodami, uzyskanymi przy sekcji zwłok swego pacjenta.

Będę cię nosił na rękach, — obiecywał przed ślubem. Potem było mu za ciężko przynieść wiadro węgla z piwnicy.

Szczęśliwi (i zakochani) nie patrzą na zegar, jeśli tylko zastawili uprzednio budzik.

(ERJOT)



— Mam już dosyć tych awantur! — Decyduję ostatecznie: ja albo on!...



— Proszę dwa, tylko koniecznie w ostatnim rzędzie...



— Pamiętaj — jeśli będziesz się kiedykolwiek bił, to tylko z takimi, którzy są słabsi od ciebie...

Rys. H. Kaczmarek

Zaczepki

MIANO

„Satyryk!” — wielu powiada o tobie; by cię tak jeszcze miał kto na wtykanie!

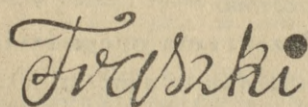
DIAGNOZA

Muza zwykle wpada w letarg, gdy się pisze wiersz na przetarg.

POD ŚLEDZIKĄ...

Przyjdą i te kieliszki pod... białe myszki!

STANISŁAW KAMIŃSKI



PRAGNIENIE

Pragnę, byś była moją, Czarnulko urodziwa. Twe oczy wzrok mój poją. Oczy — dwa ciemne piwa.

LECH KONOPINSKI

DO PEWNEGO SATYRYKA

Po co ci lwi pazur? Nie lepiej by koci? Można go od razu schować, gdy napoci.

WŁ. SCISŁOWSKI



(Z humoru angielskiego)